

Ulga w płucach

Gdy w wyreżyserowanej przez Jerzego Fedorowicza farście „Biznes”, autorstwa Johna Chapmanna i Jeremy'ego Lloyda, na scenie pojawia się Małgorzata Kochan - powietrze łagodnie. Trochę tak, jak o zachodzie słońca brunatne skóry opadłych kasztanów na Plantach. Zmierch wolno wygasza te kuliste lśnienia pod nogami, w górze ani cienia obłoków, idzie się, idzie się, idzie się, albowiem - się idzie. I do domu jakoś nie skoro wracać. Jest dobrze. Po prostu dobrze. Ulga wkracza do płuc. Która to godzina? Dopiero ta?! Mój Boże, jeszcze kupa czasu...

W sumie - nic wielkiego. I świetnie, że tak. Przecież nie można ciągle o same tylko potężne sprawy łba rozbić. Nieprawdaż? Jakby rzekł Witkacy - nie można tak ciągle, gdyż jak jest ciągle, to się wszystko zmienia w węgle. Farsa w Teatrze Ludowym jest zwyczajną ulgą normalności. Nie Szekspir, nie gruntowna reperacja świata, nie ból istnienia, nie zagwozдки dzieci głodujących w Afryce, nie trudny byt polskiego żołnierza w Iraku, nie bezrobocie, nie „robocie”, nie afera orlenowa, nie postanka Beger na studiach, nie „nie ma co do gara włożyć”, oraz nie nieszczęsny Piotr Perypatetyk Najsztab, ten Sokrates nadwiślańskiej telewizji, z regularnością napastliwego maniaka pretensjonalnie szukający dziury w całym. Nie, nie i raz jeszcze nie.

Ani tych, ani miliona innych problemów naszej współczesności Fedorowicz pospółtu z Chapmannem i Lloydem - nie dotykają. Oni zwyczajnie robią sobie z nas i siebie bosko durnowate „jajca” sceniczne. Jak na rasowych „farsiarzy” przystało, dwie wieczorne godziny nasze - w czas naszego rehotu zmieniają. Oni dali ten przysłowiowy ser, ja głupotę swoją, więc pomiędzy śmiech falował, bo musiał. Śmiech o niczym, śmiech

w żadnej sprawie, śmiech nie uwikłany, śmiech bez podtekstów, śmiech, który pragnie być tylko sobą. Śmiech czysty.

No bo, czy może być coś brudnego w strzeliście głupekowej historyjce o dwóch właścicielach firmy przewozowej, którzy, chcąc ten swój upadający biznes dobrze sprzedać, przez tzw. zbieg okoliczności żony swoje kontrahentom wystawiają jako panienki z agencji? Stanley Bigley (Tadeusz Łomnicki) i Norman Harris (Krzysztof Córcecki) dzwonią gdzie trzeba. Wynajmują apartament w londyńskim hotelu, apartament z widokiem na Big Bena. Organizują fachową apro wizację - „Jaś Wędrowniczek” (Red Label), piwo i coś do przegryzienia. Finałny szampan grzecznie się chłodzi. Wszystko dopięte na ostatni guzik, zwłaszcza marynarki. Pozostało tylko cierpliwie czekać na wspomagające damy, na kupców z zachodniej Europy, czyli na Szweda Swena Uberga (Jacek Wojciechowski) i Niemca Kurta Hoffmana (Jacek Joniec), oraz na wyteknione podpisy na akcie kupna-sprzedaży. Aliści...

Tak się otóż złożyło, że panienki - Sabrina (Patrycja Durska-Mruk) i Valerie (Urszula Sadowińska) - nie mogą przybyć, za to przybywają i w role dam wspomagających wchodzi żony, Hilda Bigley (Magdalena Nieć) plus Kochan jako Rose Harris. No i chyba nie muszę mówić: w kluczowym momencie zamówione profesjonalistki się jednak - pojawiają! Zaczyna się polka, zaczyna się galopka, rozkręcać zaczyna się spirala farsowych bon motów. Idiotyzm ściga idiotyzm. I dobrze! Paranoja na rękę się z paranoją sytuje. I brawo! Kretyństwo w pysk leje kretyństwo, które ze swej strony flekuje kretyństwo numer trzy. I jeszcze lepiej! A w samym sednie tych farsowych igraszek -

właśnie Kochan. Gdy wchodzi po raz pierwszy - powietrze wokół łagodnie.

Nie, wcale nie daje do zrozumienia, że cała reszta wymienionych artystów na jakimś dnie aktorskim się znajduje. Wręcz przeciwnie! Nic jednak poradzić nie mogę - Kochan zwyczajnie dobrze się ogląda. Ta jej Rose, ta „rózyczka”, ta „żonka-krupcia” jest ulepiona z samej delikatności. Żadnego nadmiaru w gestach, żadnej intonacyjnej fanfaronady ani okrucchu zbędnego spojżenia. Słowem - lekkostrawny smakotyłk. I tak na dobrą sprawę, gdyby przedstawienie Fedorowicza porządnie zważyć, zmierzyć i podliczyć - niewiele mniej dałoby się powiedzieć o całości. Niewiele mniej, bo na ten przykład, znęcanie się nad stylistyczną przeciętnością Chapmanna i Lloyda - jakoś nie ma tutaj sensu.

Nie ma sensu aptekarskie kręcenie nosem, bo gdy w ojczyźnie teatru, który prawie bez przerwy czegoś ode mnie chce, wreszcie pojawia się przedstawienie, które fundamentalnie niczego ode mnie nie chce - lekko wadliwie farfocle należy w kąć odrzucić. Trzeba po prostu wstać i się przejść, wspominając czas zmierzchów gaszących kuliste lśnienia brunatnych skór kasztanów pod nogami. Idzie się, idzie i idzie, albowiem - tak się sobie idzie. I do domu jakoś nie skoro wracać. Jest dobrze. Jest dobrze - po ludzku. Która to godzina? Dopiero ta?! Mój Boże, jeszcze kupa czasu... W górze ani cienia obłoków. Ulga wkracza do płuc.

Teatr Ludowy. John Chapmann i Jeremy Lloyd „Biznes”. Reżyseria Jerzy Fedorowicz. Scenografia Elżbieta Krywsza. Muzyka Krzysztof Sz wajgier. Choreografia Monika Myśliwiec.